



Irena Kozłowska

część II z II

Sygnatura notacji: **N0323**

Data urodzenia: **1921 r.**

Data nagrania: **04.2010 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 46 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Irena Kozłowska: Chyba to był 1942 rok. Więc ta koleżanka moja pierwsza po pierwsze miała z nimi kontakt i u nas był punkt kontaktowy z tymi Cichociemnymi. Nasza grupa, to ja grupy od razu... Więc opiekunem ich w Anglii to był pan Hartman, z którym potem w Anglii się spotkałam. To jest ten, major Hartman, – a tam grupa...

Konrad Starczewski: A pani bezpośrednio nie uczestniczyła w tych spotkaniach, w rozmowach w tym mieszkaniu?

Irena Kozłowska: Powiedzmy, że może uczestniczyłam, bo jak było potrzeba coś wynieść, przynieść, to myśmy były do tego, bo to się nie nazywało, że my nie zorganizowane to zanieś, przynieś, nikt nie będzie zwracał uwagi. A ile trwało takie spotkanie jedno, powiedzmy, całą noc, kilka godzin? To nie, to spotkanie, jak na wódkę przyszli, to całą noc, bośmy tańczyli, myśmy wariowali. Przecież to było tak: myśmy mieszkali w takiej oficynie, w domu bardzo dobrze było, nie słychać i nic i taka była sąsiadka na parterze i słyszała, jak u nas się grało, tańczyło i tak dalej. I zawsze mówiła tak do mojej mamy: „Moja pani, za moich czasów w czasie pierwszej wojny światowej to młodzież do konspiracji należała, a u pani nic, tylko wódkę piją i tańczą”. I bardzo dobrze. Więc tutaj właśnie na placówce, jak skakali, to ci skakali właśnie.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, jacy to byli ludzie pani zdaniem?

Irena Kozłowska: Znaczy w jakim sensie, jacy ludzie?

Konrad Starczewski: Nie wiem, jak mogłaby pani ich scharakteryzować.

Irena Kozłowska: Więc ja mogę o mojej grupie powiedzieć. Proszę, bardzo proszę. Więc to była grupa majora Milczarskiego, grupa Zachód. Oni byli zrzućani w różnych miejscach w Polsce, mieli koncentrację w Warszawie, ale byli przeznaczeni do akcji na zachodzie, jak ruszy ofensywa, to oni będą tam. I jakoś do tego nie doszło na razie i tutaj były tylko szkolenia, i między innymi właśnie szkolenia u nas w domu, bo jak już powiedziałam, to był ten punkt kontaktowy. To była grupa, zaraz pokażę ich wszystkich. Tak, więc teraz tak, to jest, o tak pokażę, to jest ten major Milczarski, dowódca, to jest Cholewa, Kret i Zachata. I ta koleżanka moja właśnie, Zenka. To jeszcze nie wszyscy. A tu jest ona na grobie swojego męża, bo byli w akcji. Więc bardzo byli weseli, bardzo sympatyczni, szalenie inteligentni. W tej grupie mojej to tak, więc ten pierwszy, powiedzmy, Cholewa, to syn przemysłowca z Poznania, z wykształcenia on skończył szkołę handlową, Wyższą Szkołę Handlową w Poznaniu. To wszystko wyższa. Potem „Kret”, czyli Kamiński, właściwe nazwisko Jachciński, to był, on kończył bankowość w Krakowie. Zachata był na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Nazwisko Kornilowicz konspiracyjne, a nazywał się Benedyk. Potem jeszcze był „Wulkan”, już nie pamiętam, pseudonim, było ich pięciu. Specjalnie szkoleni. Ci Cichociemni fenomenalnie szkoleni, powiedzmy nasi komandosi to zero przy nich. wódk04:03.241 --> 04:07.103 Wszystko umieli. I poza tym byli bardzo inteligentni, bardzo sprytni. Jakie ich losy? Więc ten Cholewa ożenił się z tą moją koleżanką, która ich prowadziła, ożenił się 4 stycznia, a 25 marca zginął w akcji pod Szymanowem. Pojechali tam po broń, wieźli tę broń ciężarówką, ciężarówkę zatrzymali Niemcy, oni świetnie mówili po niemiecku, ci moi koledzy, zaczęli ich zagadywać, tam wyszedł jakiś dowódca, mówi: „A co tam macie pod plandeką?” i trzeba było uciekać, uciekli, przestrelili ich i na wierzchu pod plandeką tam siedział Kazik, to ja mówię pseudonimy, tam siedział Kazik i...

Konrad Starczewski: A pani jaki miała pseudonim?

Irena Kozłowska: Miałam Irka, po prostu swoje imię. Irka zawsze. I przestrelili opony, zastrzelili tych dwóch pod plandeką, ci uciekli z szoferki i właśnie on został... On nie, on nie został zastrzelony. On kazał uciekać Zachacie z Mirą, z tym szoferem, a on będzie się osłaniał, więc Kazika tylko zastrzelili na górze. Osłaniał, a tymczasem, tam był oddział tych Niemców, nie wiem, kilkunastu, on był jeden, więc ostrzeliwał się, póki miał, potem ostatni nabój se wstrzelił w głowę i nie oddał się. Oni kazali, Niemcy jak przyszli, to jego i tego, który tam był pod plandeką, kazali zakopać gdzieś tam. I przy tym zakopywaniu była nauczycielka wiejska, która tam była i zdążyła zdjąć im zegarki, i paski od spodni schować. I potem, to wszystko konspiracja była, było łatwo się dostać, dowiedzieli się, kto to jest i żony dostały na pamiątkę pasek od spodni i zegarek każdego. Między innymi właśnie ta moja koleżanka. Potem ten właśnie Kamiński, „Kret” taki najmniejszy, przeżył wszystko. Brał udział w Powstaniu Warszawskim, brał udział w Powstaniu od strony Mokotowa chyba, tam Niemcy zajęli Mokotów, to on obszedł dookoła, jeszcze wszedł od Żoliborza, jeszcze przyszedł do Warszawy i jeszcze się dostał do niewoli niemieckiej, z niewoli niemieckiej jeszcze zdążył uciec. Oni byli straszni. Oni wszyscy skakali oczywiście do Polski, dostali się w Polsce, skacząc, dlatego się nazywali Cichociemni, bo po cichu i po ciemku skakali. Wszyscy byli bardzo sprawni, wszyscy byli szaleni inteligentni, wszyscy władający językami, jak się dzisiaj mówi poetycko, kwiat młodzieży. – Tak ich robili. –

Konrad Starczewski: A czy oprócz właśnie tej, dania tego mieszkania, prawda, bo pani jeszcze wypełniała jakieś inne obowiązki.

Irena Kozłowska: Więc były obowiązki. Meldunki się przynosiło, – czy jakieś kontakty. – Jakiś kolportaż na przykład prasy konspiracyjnej. Tak, kolportaż, kolportaż to już była w ogóle taka... – Codziennosc. – bardzo mniejsza działalność. Tutaj w tym wypadku to już z kolportażem. Trzeba było wylecieć, zobaczyć, pilotować kogoś z nich, powiedzmy, to tak byłeś na posyłki.

Konrad Starczewski: A jak pani wspomina spotkania, jeżeli pani jakoś osobiście może go widziała, – z generałem Nilem.

Irena Kozłowska: Więc osobiście, osobiście tośmy powiedzieli „Dzień dobry”, podała mi rękę, poszedł do drugiego pokoju, miał odprawę z chłopakami. To tyle. To tyle było, bo to była jego inspekcja. Tu myśmy się głównie spotykali z tym majorem Milczarskim, ale to była najwyższa inspekcja, jak przyszedł Nil. Ale miałam szczęście go zobaczyć, gościć w swoim domu. Proszę powiedzieć, byśmy przeszli teraz do sierpnia 1944 roku.

Konrad Starczewski: Jakby pani mogła opisać, nie wiem, te ostatnie tygodnie przed wybuchem Powstania, prawda. – Tutaj... – Co się działo wtedy w konspiracji – jak pani to wspomina?

Irena Kozłowska: Więc zaraz też powiem, też powiem, to jest dość ciekawe. Więc ja siedziałam na Okęciu i byłam w tych ósmym miesiącach ciąży, taka aktywna to bardzo nie byłam. Mój mąż latał na spotkania, na ćwiczenia, ale pamiętam bardzo ciekawe zebranie, tuż przed samym Powstaniem. Więc tak, robimy Powstanie. Oczywiście Powstanie będzie krótko trwało, bo przecież przyjdą Sowieci, bo stoją za Wisłą, słysząc, oni już Pragę zajęli, strzelają, więc oni przyjdą. Oczywiście, że oni nie będą chcieli przyjść, bo to dranie są, ale im każą, Amerykanie im każą i Anglicy im każą. Myśmy mieli takie nastawienie. Oni dostaną rozkaz i będą musieli wejść, wobec tego Powstanie będzie trwało trzy dni, cztery dni, to wytrzymamy, bo jesteśmy świetnie zorganizowani, bo byliśmy rzeczywiście. I z takim nastawieniem na tym zebraniu myśmy to postanowili. Tak że tak to będzie wyglądało. Myśmy nie mieli pojęcia... Gdzie to zebranie było? Tam gdzieś na Okęciu, tak? Gdzieś tam na Okęciu było, nie pamiętam gdzie już było, ale pamiętam tę treść, przebieg tego zebrania. Wiecie, że to są złodzieje, że to mogą nie przyjść. No, mogą nie przyjść, ale nie mogą nie przyjść, bo oni im każą. Przecież to są sojusznicy. Oni nas nie słuchają, ale tamtych to posłuchają, muszą ich słuchać, tak. Tak myśmy sobie wyobrażali. Jak długo to było przed wybuchem Powstania? To było, ja wiem, może dwa tygodnie, może tydzień. Powstanie już było, wszystko było przygotowane i wiadomo było, bo kontakty, punkty i tak dalej, to wiadomo było, że godzina „W” to jest 17:00.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy pani działając w konspiracji, znaczy funkcjonowała w takim przeświadczeniu, że właśnie to się skończy Powstaniem, czy ta myśl o Powstaniu dopiero gdzieś zaczęła kiełkować na początku 1944 roku, na przykład.

Irena Kozłowska: Nie, to dawno już... – To już wiadomo, że... To już wiadomo, że Powstanie musi być, oczywiście

że będzie, – bo jeżeli... – Celem funkcjonowania... Po co myśmy robili tę całą konspirację, przecież armia była świetnie zorganizowana. Wszystko było. Ale wiadomo było, że to musi być Powstanie, to wiadomo było. My uderzymy od tyłu i tam, i wszystko nam pomogą, to muszą, bo przecież ci... Myśmy nie zdawali sobie sprawy tak. Ale otwarcie zaczęto rozmawiać tam na kilka tygodni przed Powstaniem, tak? Czy jeszcze... Otwarcie to się właśnie mało. Konspiracja była świetna, to się mówiło, tylko po cichu. Że będziemy, to nie, to mowy nie było, nie było mowy. I mój mąż powiedział „Do widzenia”, poszedł do Powstania, ja w dziewiątym miesiącu ciąży. Wszyscy kuzyni z Okęcia poszli, poszli do Powstania. A mąż jak się nazywał, bo chyba jakoś... Jak się mąż nazywał? Mój mąż się nazywał Mieczysław Mester, bo to był mój pierwszy mąż. I pani... Jak wyglądały wydarzenia po 1 sierpnia, – te pierwsze. – Więc 1 sierpnia, 1 sierpnia, jak już powiedziałam, jestem na Okęciu, jestem sama... Nie, z ojcem jestem, przepraszam. Bo ojciec do mnie przyszedł, ojciec miał urlop akurat i przyjechał do mnie, i został już i koniec, 1 sierpnia. Byłam z ojcem. Ale patrole niemieckie chodzą i strzelają jak leci, kto wychodzi, to strzelają i dobrze, bo się boją. Bo i Powstanie, oni nie wiedzą, jaki ma zakres Powstanie, terytorialny. I siedzimy. Siedzimy w domu i nic. W nocy, jak nie ma kartofli, ojciec wychodzi tam po lesie daleko, kopie i przynosi kartofle, i się gotuje kartofle, i siedzimy. I tyle. Samoloty wszystkie, które lecą z bombami na miasto, mogłabym policzyć wszystkie bomby dokładnie, bo to przy lotnisku było. Startowały nad moim domem, tak że leciały nad domem jakieś, ja wiem, z 50 metrów najwyżej. Wszystkie samoloty, które bombardowały Warszawę. Więc samoloty i bomby lecą, widać tam wybuchy, widać to w Warszawie, ale siedzi się w domu i koniec, – nic nie wiadomo.

Konrad Starczewski: Jakież wiadomości od męża?

Irena Kozłowska: Żadnych, skąd.

Konrad Starczewski: A mama? Bo mama została w Śródmieściu, tak? Pani mama.

Irena Kozłowska: Tak, mama w Śródmieściu, ojciec tutaj, mama w Śródmieściu i siostra też, siostra nie bardzo, bo siostra poszła... Nie, była w akcji, więc nie wiem, gdzie miała zbiórkę wtedy, – tak że właściwie... ? – Ale mama została sama praktycznie. Mama została sama, tak. Mama została sama i oczywiście zaraz włączyła się do akcji, nie wiem, co tam robiła, co było robić, gotowała pewno dla tych Powstańców czy coś, bo mama zawsze była czynna, bardzo wtedy. – I tyle.

Konrad Starczewski: A jeszcze tutaj przed naszą rozmową oficjalną mówiła pani o lądowaniu amerykańskiego... Znaczący o amerykańskim samolocie.

Irena Kozłowska: Tak, też ciekawe?

Konrad Starczewski: Tak, tak. Proszę opowiedzieć.

Irena Kozłowska: Dobrze, to mogę opowiedzieć. Więc to było... Bym dokładnie powiedziała, kiedy to było. Tak, to było gdzieś w lecie. To było po Powstaniu. Po Powstaniu, bo to wydali... Ruscy już byli, więc oni... Już wiem, no,

bombardowali Drezno. Bombardowali Drezno, mieli przestrzelony silnik. I najbliższy port lotniczy to była Warszawa, więc przylecieli do Warszawy, tutaj przejęli sojusznicy, Rosjanie i szukają takiego, co będzie mówił z nimi, dowiedzieli się, że angielskiego uczy, to ja, więc wziął taki ruski ten przewodnik i przyprowadził, nie do mojego mieszkania, bo ja miałam za małe, to do sąsiadów, zawołali mnie, żebym ja dogadała się z tym. I jak ja weszłam do tego, idzie takich dziesięciu drabów w mundurach, przecież nie widziałam nigdy munduru amerykańskiego, ładnie powiedziałam „Morning”, spojrzeli na mnie, rzucili się do mnie, zaczęli gadać, ja nic nie rozumiem zupełnie. Ja się uczyłam angielskiego przyzwoitego, a oni mówią po amerykańsku, każdy z innego stanu. Uczyłam się, pani mówiła, że dobrze, angielskiego nic nie wiem, ale łapałam. „Wy jesteście Amerykanie?”. Bo nikt nie wie, kto to jest. „Wy jesteście Amerykanie?” „Tak” „To mówcie do mnie po angielsku i wolno”. To oni się roześmieli i wyszedł taki jeden, wystąpił, i z nim się dogadałam. Z nim się dogadałam i tłumaczyłam temu ruskiemu, o co chodzi. Okazało się tak, że oni, prawie wszystko było zbombardowane, hotel był zbombardowany, który był dla lotników, na lotnisku, więc oni będą kwaterować po dwóch, po domach prywatnie. U mnie nie można, bo ja byłam, miałam jeden pokój z kuchnią, ale tam, gdzie byłam, gdzie ich wołali, to tam dwóch zostanie. I on ich rozprowadza po innych domach, tam po dwóch będą mieszkali. Dowiedziałam się od nich, że właśnie bombardowali Drezno, przestrzelony silnik i jak ich wypuścili z tego samolotu, to tak jak stali, przed samolotem postawili wartę sowiecką i im nie wolno wrócić do samolotu. Siedzą tutaj, mają siedzieć cicho. Stołówkę mają tam i tam, do stołówki na śniadanie, obiad i kolację, tu spać i koniec. I jedyna osoba, która się może z nimi porozumieć, to ja. Więc oni do mnie, pytają się. Ja mówię: „ja tyle wiem, co i wy akurat”. Tyle, że mogę zrozumieć, co oni mówią. Oni siedzą. Siedzą. Zresztą bardzo mili chłopcy byli. Inteligentni bardzo. Szybko łapali polski, bo ja tam przecież nie jeździłam z wszystkimi po tych kwaterach, już z tymi Polakami już tam potrafia coś dogadać się, ale siedzą i pytają się kiedy. Ja mówię: „No, nie wiem kiedy, nie wiem kiedy”. I siedzą. Chodzą na obiad tam, dostają codziennie kapustę i świńska tuszonka taka była. To z Ameryki przysyłana dla wsparcia armii radzieckiej, tylko po rusku napisane, więc jedli tę świńską tuszonkę i kapustę. Więc ja, jak mogłam, zaprosiłam ich do ciotki, która miała dobry stół, oni się strasznie ucieszyli i byli na przyzwoitym obiedzie, ale co będzie, co będzie. I wreszcie przyjechała na Okęcie Unra. Nie na Okęcie, gdzie? Na Saską Kępe. No, Unra, organizacja amerykańska. „Wiedziecie co, przyjechała organizacja amerykańska Unra, idźcie tam do nich, to się czegoś dowiedziecie”, bo tutaj siedzieć i cicho, siedzieć i cicho, i nic więcej. Tam któryś mówi jeszcze po angielsku gdzieś tam dowódcy: „Siedzicie i czekajcie, siedzicie i czekajcie”. Oni czekają tydzień, dwa i nic lepiej. I wreszcie poszli pieszo z Okęcia, pieszo poszli na Saską Kępe, wyobrażacie sobie? To dla nas jeszcze mucha, a oni w ogóle nigdy nie chodzą pieszo, ale poszli. I tam się dowiedzieli. Tam mieli kontakt już, już mieli z nimi kontakt, przywieźli takie paczki z Rosji duże, poczęstowali nas. Myśmy jedli, strasznie. Już byli ucieszeni. Myśmy... a ich zaprowadziłam do Warszawy, pokazałam, jak wygląda zbombardowane miasto, bo oni nigdy nie widzieli, bombardowali z góry, ale w mieście zbombardowanym nie byli. Więc to wrażenie na nich robiło straszne. I potem chodziliśmy, pokazywaliśmy, wszystko i nagle przylatuje ta sąsiadka, u której oni mieszkali, bo u mnie nie, tylko u sąsiadki. Amerykanie wylatują. Odlatują. Ja myślę: „Tak? Nic nie powiedzieli, mnie nic, tylko odlatują?”, wychodzę, ich już nie ma, poszli. Mówię: „Chamstwo”. Można było powiedzieć „Do widzenia”. No, nic. To był... Co to było? To był styczeń czy... Chyba styczeń był. No, tak, jak byśmy jeszcze mogli wrócić do... Ale zaraz, bo to jest ciekawe, jeszcze muszę skończyć. To się kończy jeszcze tak. Więc ja mówię: „Nie daruję. Chamstwo to chamstwo, mają się uczyć kultury”. Ambasada amerykańska zjeżdża do Warszawy, w maju już chyba, pod koniec maja, w hotelu Polonia. Idę ja tam i do ambasadora. Co takiego? Ja muszę porozmawiać o lotnikach amerykańskich”. Wchodzę tam, ambasador. Ambasador się akurat mył, bo to w hotelu Polonia to był tak: pokój, łazienka i koniec. W łazience się

goli ambasador, a tutaj siedzi sekretarz. Ja mówię... Aha, nie, mało tego, zapomniałam najważniejszej rzeczy. Mnie ukradł aparat fotograficzny Amerykanin, bo ja robiłam zdjęcia. I on widział ten aparat, i oni jechali... A, już teraz sobie przypomniałam. Więc oni lecieli do Połtawy. Nie do Anglii, nie do Francji, tylko do Połtawy. Oni się strasznie bali tego. Pytali się, dlaczego... Ja mówię: „Skąd mogę wiedzieć?”. Wzięli ten aparat. Przypuszczam, że chodzili tam jakieś zdjęcia robić. I kazał się... W tej Połtawie była zbiórka tych wszystkich takich po-podrzucanych tych Amerykanów, co ze spadochronami skakali, ich tam wszystkich koncentrowali i wywozili gdzieś tam do Anglii. W każdym razie ja tłumaczę, o co chodzi, że mnie amerykański oficer ukradł aparat fotograficzny. On mówi: „To cham”. Ja im opowiadam tę całą historię, jak prowadziłam na obiady do ciotek, żeby jedli, bez przerwy tej świńskiej tuszonki. On mówi: „To pani ich gościła”. Jak ja go tam, bardzo elegancko był, po angielsku i co on tam tego. I dobrze, zapisał sobie, ja zresztą wiedziałam, w jakiej oni są bazie i tak dalej, więc on wszystko zanotował, „Ja ich znajdę, to ja ich dopadnę”, dobra, dobra. To było gdzieś... To był chyba maj. Ja dostałam posadę w Garwolinie, bo Warszawa była w gruzach i dostaję w Garwolinie pismo z ambasady, że znaleźli ich. I on powiedział, tam XY, powiedział, że on przez pomyłkę spakował aparat fotograficzny, który leżał na stole. A miał tylko kieszenie, bo nic... Jakoś musiał się tłumaczyć. Więc... I on powiedział, że ten aparat odeśle. I za parę dni przyleciał ten aparat. Taka była paczka. Wypchana papierami i gazetami polskimi, w środku był tylko goły aparat rzucony, a na paczce był napis „Gift”, czyli prezent. On musiał coś przysłać w tej paczce, były tylko gazety i tylko aparat. A, bo to jeszcze dostałam zawiadomienie z poczty w wielkim mieście Garwolinie, gdzie dostałam posadę, idę na pocztę, dostaję tę paczkę, ale wyrwana taka z boku i tym gazety. Ja mówię: „Widzi pan, jest paczka uszkodzona” „No, widzę”. Ja mówię: „No, jak to jest”. „To może pani reklamować” „Dobrze”. „Ale musi pani zostawić paczkę”. „Nie, nie. Aparat z Ameryki to ja dostałam, ale jak tu zginie mi paczka, to z aparatem razem, nie chcę, dziękuję”. I napisałam list, oczywiście taki był adres na tej paczce, 77 cyfr różnych jakichś takich, śmakich, owakich. List objechał całe Stany Zjednoczone, wszędzie napisane, że nieznany adresat. Mam ten list na pamiątkę, dzisiaj wszędzie opisany tak. Koniec. Nic nie wiem. Miałam kolegę w Stanach, prosiłam go, czy może poszukał tych, jak poszedł ten list, to ten kolega umarł. Poszukam, żadnego kontaktu, się skończył i taka była przygoda mojego aparatu, a aparat wrócił, fotograficzny, to był historyczny aparat z kolei, bo to był jeszcze pierwszy jakiś, nie pamiętam... Aparat był z kolei mojego szwagra, który siedział w niewoli w obozie, w Oświęcimiu siedział i ten aparat to była jego pamiątka, potem się dostał do Stanów, i do Stanów aparat pojechał, i on się okropnie ucieszył, że jego aparat się uratował. Przeleciał całe Stany. Taka była historia.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, jeszcze byśmy wrócili, całe Powstanie pani na Okęciu, tak?

Irena Kozłowska: Tak. Można powiedzieć, mieszkała. Tam urodziło się dziecko, jak rozumiem. Czyli nie wiem, może były jednak jakieś wydarzenia, jakieś dni, które pani szczególnie zapadły w pamięć – z tych dwóch miesięcy właśnie. –

Konrad Starczewski: Jakie były wydarzenia?

Irena Kozłowska: Że... Aha, więc ci Amerykanie, którzy lądowali tam na Okęciu spotkali się z lotnikami rosyjskimi u mnie w domu. I ja tłumaczyłam z angielskiego na rosyjski. Bo oni rozmawiali bardzo fachowo ze sobą. – Tak że bardzo byli sympatyczni. – Znaczący ja mówię o Powstaniu Warszawskim teraz. A jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie, to ja

byłam zamknięta w domu, bo jeżeli ktoś wyszedł, to strzelali. Ja miałam takie, nie wiem czy pan zna Okęcie? – Tak, znam. – Więc ja mieszkłam na ulicy Mineralnej, to jest przy pętli tramwajowej, a cała moja rodzina po drugiej stronie tego pola, tam dalej, tam dalej, gdzie się nazywa Opacz. Więc ja musiałam kursować z tej Mineralnej na Opacz, przez te pola. Więc jak kiedyś szłam, to zaczął do mnie strzelać Niemiec. Tam z obsługi lotniska na pewno. Tak, tak. Zaczął do mnie strzelać, bo nie wolno było wychodzić z domu. Ja przyszłam tam do ciotki, bo ta ciotka mi obiecała, że mi mleka da trochę. Poszłam i siedziałam tutaj. Siedziałam z ojcem i ojciec kradł kartofle w nocy, i gotowaliśmy, i przeżyliśmy to Powstanie. A później wkroczenie Sowietów, jak pani... Aha, wkroczenie Sowietów. Wkroczenie Sowietów to było bardzo atrakcyjne, dlatego że oni wysadzili elektrownię, a ja miałam elektrycznością ogrzewany dom. Więc maleńkie dziecko w beciku, zima, 18 stopni mrozu, trzeba jakoś skombinować jakiś opał, wprawdzie piec miałam, ale nie było. I poszłam na Okęcie, tam już do szosy bliżej, żeby jakieś drzewo zabrać, węgiel czy coś takiego i wchodzili Sowietci wtedy. W takich kombinezonach białych byli, pamiętam, futrzanych i cieszyli się okropnie, i strzelali na wiwat, i taki stał jeden za mną, za plecami, wywalił taką serię do góry, ale ja nie jestem wrażliwa na strzelanie, więc jakoś nie umarłam. I musiałam zbierać jakieś... Musiałam się postarać o piecyk żelazny, żeby ogrzewać to mieszkanie, musiałam się postarać o opał, o jakieś rury do tego piecyka. I tak siedziałam. Jak było dziesięć stopni tego, to kąpałam moje dziecko. Niemowlę kąpałam, jak było dziesięć stopni ciepła w mieszkaniu. To już była duża temperatura. I siedziałam tam, musiałam coś wymyślić. I właśnie wtedy wymyśliłam, że chyba pójdę uczyć do szkoły. Spotkałam moją panią od angielskiego, która była autorką podręczników, – pani Klara Jastro. – A jeszcze przepraszam, jakby pani mogła powiedzieć, wieści o mężu i o mamie, bo oni poszli do Powstania, prawda? – Tak, tak. – Kiedy pani się dowiedziała, – co się z nimi dzieje? – Więc tak się dowiedziałam, moja, znaczy mój mąż poszedł do niewoli, to się dowiedziałam, że poszli do niewoli. A że żyje, to nawet nie wiem, jak się dowiedziałam, że on żyje. Natomiast moja mama została wywieziona w góry z moją koleżanką, bo ta koleżanka też chwilowo mieszkała z moją mamą. I ta koleżanka postanowiła zobaczyć, czy ja żyję. Mamę zostawiła tam na wsi, i przyszła do mnie, bo wiedziała, gdzie ja mieszkam na Okęciu. Ale po Powstaniu uciekła mama z Warszawy. Wywieziona została. Nie uciekła, tylko została wywieziona i osiedlona tam przymusowo u jakichś chłopów. Strasznie ciemna wieś była, okropna. Okropna wieś. Mama tam ich uczyła jakiejś oświaty, więc byli bardzo wzruszeni. I ona mnie znalazła, stwierdziła, że ja żyję, że mieszkam w swoim mieszkaniu i dała znać mamie, i wtedy przyjechała mama. Żeśmy się znaleźli wszyscy razem w tym moim mieszkaniu na Okęciu. Tak żeśmy się pozbierali. Siostra ze szwagrem uciekli z transportu, bo oni byli w transporcie, bo brali udział w Powstaniu czynny, gdzieś tam w nocy uciekli i pieszo przyszli też do mnie na Okęcie. Ja miałam wytworne mieszkanie, pokój z kuchnią i cała rodzina się zmieściła. Szczęśliwie, rzeczywiście. I było zupełnie szczęśliwie. I ja potem dostałam posadę w Garwolinie, bo w Warszawie nic nie było, tam jedna szkoła była otwarta, to mnie już tam nie dadzą, a Garwolin był atrakcją wielką, bo anglistka przyjeżdża do Garwolina. I tam siedziałam.

Konrad Starczewski: Pani mówiła o tym, że mąż przysyłał listy, tak, że tam się pani dowiedziała, że on jest...

Irena Kozłowska: Tak, tak. – Że nie, bo to było tak, że pani dała jakieś ogłoszenie chyba. Tak, znaczy ogłoszenie przez radio, że żyję, że mieszkam w Garwolinie, tak było. Mieszkam w Garwolinie. A oni dopisywali wszędzie na końcu „Przyjeżdżaj natychmiast”. To nie ja. I on dostał taką wiadomość tam, – bo on był w Niemczech.

Konrad Starczewski: A gdzie dokładnie był w obozie?

Irena Kozłowska: Zaraz, zaraz, gdzie on był w obozie? Był w obozie, ale już nie pamiętam w tej chwili. Jak mi się przypomni, to powiem. Więc on już wyszedł z obozu i on się spotkał ze swoim bratem, który wyszedł z Oświęcimia, tam się spotkali i obaj mieli jechać do Stanów. Bo oni nic nie wiedzieli, w ogóle, bo Warszawa zgruzowana, w ogóle byli przekonani, że ja nie żyję. I wtedy przez radio przyszła ta wiadomość, że przyjeżdżają natychmiast. To ten od razu spakował manatki i przyjechał natychmiast, – że się coś dzieje.

Konrad Starczewski: A dlaczego pani zdecydowała się na taki krok, żeby przez radio?

Irena Kozłowska: Bo ogłoszono, że można dawać wiadomość na Zachód tam, do radia, że się żyje. Takie były kontakty.

Konrad Starczewski: Przez Czerwony Krzyż też próbowała pani szukać męża – czy tylko przez radio?

Irena Kozłowska: Nie, ja tylko przez radio, bo to było bardzo wygodnie. Dać wiadomość przez radio. A że oni dopiszą, to ja tego nie wiedziałam. – I dobrze, że dopisali. – Ja nie wiem, czy dobrze, że dopisali, bo już mi umarł za rok, po półtorej, wrócił z obozu z gruźlicą, a jakby pojechał do Stanów, to by wyleczyli mu tę gruźlicę. Tak że nie wiadomo, jak to było. Co z tego, on przyjechał, przyjechał z otwartą gruźlicą, zaraz poszedł do szpitala i rok się leczył jeszcze, i nic z tego nie wyszło.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy pani przeszłość konspiracyjna, akowska, jakby nie patrzeć, jakoś ciążyła na pani – w pierwszych latach po wojnie?

Irena Kozłowska: Nie, ona nie ciążyła, dlatego, że ja się nigdzie nie ujawniałam. Bo były ujawnienia, były zgłoszenia, ja nigdzie się... Do niczego się nie przyznawałam i się nie ujawniałam. – Nikt nic nie wiedział. – Jak już amnestia była, to pani... Nie, nie, nie. Zupełnie nie, ja w ogóle nie wierzyłam, bo ja mam dobrą wyobraźnię i wiem, co to jest komunizm. Z rodziny też nikt nie miał w tych latach stalinowskich. – Z rodziny tak, no... – Tata miał kłopot, tak? – Że zabrano mu uposażenie. – Tak, tak. Tak, ale jeżeli chodzi o jakieś więzienia... Więzienie nie, nie, nie. Ani siostra się nie ujawniała, bo były te ujawnienia, zgłoszenia, my się nie ujawniamy, nikomu i nie potrzeba.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, bo przyszedł ten styczeń 1945 roku, wkraczają Sowieci, zaczyna się instalować ta władza i pani już jest dorosłą osobą. Już pani poznała życie, jaki był pani stosunek do tego całego wydarzenia? Co pani myślała o Rosjanach, czy miała pani jakieś nadzieje, tak jak część społeczeństwa, że może wybuchnie trzecia wojna, – że oni może się wycofają?

Irena Kozłowska: Takie były jakieś, ale miałam taką śmieszoną przygodę właśnie w związku z tym. Wojna się kończy i już mamy Sowieców tutaj. I spotykam mojego kuzyna. Ja mówię: „I co będzie dalej?” Mówi: „Byli Niemcy,

po czterech latach poszli, przyszli Sowieci, za 50 lat też pójdą". Tak mi wtedy powiedział. „Coś ty, zwariował?” Nie wierzyła w to pani. Nie wierzyłam. A on tak sobie spokojnie to powiedział, ja mam to zanotowane. Gdzie mu to do głowy przyszło? Tak że... To trudno było, ja to zawsze pamiętam, jak strasznie zakłamany czas, wiecie? Bo my teraz mówimy normalnie, otwarcie, ten mądry, ten głupi, w rządzie czy nie w rządzie, w ogóle... A wtedy człowiek był tak strasznie zakłamany, nie wolno było pewnych rzeczy mówić i jak mówili, że dobrze, to się klaskało, dobrze, tak, a co myślałam, to myślałam, straszne to było. Ja miałam taką koleżankę, ona była bardzo odważna, nie wiem dlaczego. Ja się bałam, bo pewnych rzeczy nie mówiłam, ale nie mówiłam... Ona uczyła historii i uczyła historii według nowego programu, tak jak było to powiedziane i nakazane. Kończy się lekcja, mówi... Dzwonek na przerwę, mówi: „A teraz wam powiem jak było naprawdę”. Tak uczyła. Odważna była i nic jej się nie stało. – Widocznie miałam jakichś uczniów... – Porządných. Właśnie to ciekawe jest, bo... Wiecie, to są tacy, ja nie wiem, to są ludzie tacy z jakąś taką ochroną zewnętrzną, nie wiem. Na przykład rewizja. Rewizje były w domu bardzo często w czasie okupacji, różne. Takie rewizje, czy jak wpadali, rewidowali, szukali czegoś, nie wiadomo czego. Na Okęciu, jak ja mieszkalam, to szukali Powstańców, bo Powstańcy wyszli i trzeba było ich znaleźć. Siostra moja ze szwagrem prosto z Powstania do mnie. Młodzi ludzie. Wpadają, rewizja. Dowód mój, dowód szwagra, siostra stoi, nikt się do niej nie zwraca. W ogóle. Jej nie ma, a stoi. Baba taka, akurat widać, że z Powstania prosto przyszła. Mnie wylegitymowali, szwagra wylegitymowali, rozejrzeli, poszli. I za każdym razem tak było. Moja siostra była nietykalna. Łapanka jest w Warszawie. Łapią, idzie, ona ma pełne kieszenie bibuły tajnej, przechodzi, tego rewidują, tego rewidują, a ona patrzy, przechodzi i idzie, nie widzą jej. Była niewidzialna. Nigdy jej nie rewidowali. Coś niesamowitego. Tylko jej. Tak że takie były sprawy Ducha Świętego.

Konrad Starczewski: A jeszcze wspomniała pani o kole polonistów w Świdnicy.

Irena Kozłowska: To jest.

Konrad Starczewski: Pani kiedy zaczęła tam funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc...

Konrad Starczewski: Bo to jest dosyć ciekawe. Bo rozumiem, że to jeszcze w czasach PRL-u się zaczęło.

Irena Kozłowska: Tak, tak, tak.

Konrad Starczewski: A pani w którym roku – zaczęła tam funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc ja przyjechałam na Zachód zupełnie wbrew mojej woli. Bo ja powiedziałam, jak się skończyła wojna, że nigdy nie pojedę na żadne ziemie odzyskane, ja tego nie chcę oglądać. Jak powiedziałam, nigdy już od tej pory nigdy nie mówię „Nigdy”. I mój mąż był w niewoli, nie było go, ja zostałam z dzieckiem, a moi teściowie pojechali do Świdnicy właśnie. I piszą listy, że: „Słuchaj, mieszkanie macie, pracę dostaniesz, przyjeżdżaj,

przyjeżdżają". Ja myślę: „Póki on nie wróci z niewoli, to ja tam sobie pojedę”. I sobie pojechałam tam. Pojechałam sobie, jak wrócił, on wrócił z gruźlicą, rok sanatorium, umarł i tam zostałam. Mieszkanie rzeczywiście dostałam, cztery pokoje, bardzo przepięknie było, pracę od razu w szkole i dobrze. I zaraz jak on umarł, to ja wracam do Warszawy, przecież przyjechałam do Warszawy, tak, pani anglistka, świetnie, a meldunek? Nie ma. Nie wolno. I zostałam tam na dzikim zachodzie. Pani to koło polonistów zakładała, rozumiem. I wtedy właśnie postanowiliśmy założyć koło polonistów. To 50 lat temu było. Tak było parę tych zwariowanych polonistów, trochę przedwojennych, więc na czym to będzie polegało. Literatura bieżąca, referaty na tematy literackie, dyskusje o tym, co wychodzi, musimy być na bieżąco, musimy wiedzieć. Poza tym jeszcze... Ale proszę powiedzieć, czy to zakładaliście państwo z taką myślą, że to będzie w kontrze do tego systemu, który jest? Nie, nie. Czy po prostu chcemy jakby... – Literaturą się interesowaliśmy. – literaturą się zajmować. To nie znaczy, że „Rok 1984” Orwella poszedł w twardym druku. No właśnie, o to mi chodzi, czy te książki takie... – Dyskusja, tak, tak. – na indeksie, że tak powiem. Na indeksie książki też szły wszystkie, wszystkie szły książki, jak szło. I była dyskusja na takie czy inne. Pewne tematy teatralne, myśmy wyjeżdżali do teatru bardzo często, był dobry, we Wrocławiu był dobry teatr, – dyskusje teatralne były. – Czyli to była taka forma... Forma dyskusyjna, tak. Ale też jakby opozycyjna, prawda? W jakimś sensie tak, ale na przykład przez dłuższy czas przewodniczącym była koleżanka komunistka z przekonania. Z przekonania, ona była przekonana, taki bardzo uczciwy komunistka był. I ona na przykład wprowadzała nam takie tematy o jakiejś literaturze, takiej bardzo mocno zabarwionej i też dyskutowaliśmy, wszystko jak szło. Ale jakichś takich kłopotów z tego tytułu, że się czyta Orwella i się dyskutuje... – Jakoś nie było. Nie było, wszyscy byli... Mimo, że ona była, ale jakoś była właśnie bardzo uczciwa i uprzejmie nie donosiła. A jak na przykład... Czy sytuacja polityczna w kraju, te polskie miesiące, czy to jakoś się może przekładało na funkcjonowanie tego koła czy... No, nie. Polityka tam wchodziła w ogóle? Nie. Ponieważ byliśmy o różnych orientacjach politycznych. Bardzo ciekawe, o różnych orientacjach politycznych, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. I od razu założyliśmy, nie rozmawiamy o religii, nie rozmawiamy o polityce i o czym jeszcze, nie rozmawiamy o chorobach. Nie ma o tym tematu i koniec. I bardzo dobrze nam się żyje, i bardzo dobrze się dyskutuje. Różne są zabarwienia. Były zawsze i nie przeszkadzało mi, nie było. O polityce nie rozmawiamy, nie rozmawiamy o religii, nie rozmawiamy o chorobach. – Cały czas się... – I już, i wszyscy zdrowi. – państwo trzymaliście tej zasady. – I trzymamy się dalej. I trzymamy się dalej. Pojawiali się w międzyczasie nowi członkowie? Bardzo rzadko, bardzo rzadko, bo ludzie się boją. Boją się, no, przepraszam, że się pochwalę, poziomowi. Boją się poziomowi, bo to jednak trzeba coś wiedzieć, trzeba coś wiedzieć. Chociaż jest takie małżeństwo, oni to... To są nauczyciele, ale powiedzmy, jakby to powiedzieć, pierwsze pokolenie intelektualistów. Oni nie zabierają specjalnie głosu i mówią: „Bo my się uczymy”. To starsi państwo są już w tej chwili, ale jak byli młodszy, 50 lat temu byli młodszy. To my się czegoś dowiemy. Też można tak. Tak że to jest ciekawe zjawisko, bo właściwie nigdzie chyba nie ma takiego... Wszędzie u nas nie ma regulaminu, nie ma składek, nie ma przewodniczących, nie ma. Zbieramy się w domach prywatnych, za każdym razem u kogoś herbata, jakieś tam ciasteczka – i dyskusja. – Spontaniczny ruch, można powiedzieć. Właśnie spontaniczny ruch, ale właśnie oparty o zainteresowania. I powiedzmy, to jest nie tylko literatura, bo my potrafimy wyjść jeszcze w bok, jakie są ciekawe zjawiska, to też się dyskutuje. No, tak, ale mieliście też państwo świadomość, że jesteście jakimś tam ruchem niezarejestrowanym zupełnie, a już mówię o tych latach 60. – Oczywiście, tak. – Że może to się różnie skończyć. To na pewno, to na pewno, ale szło. Jak myśmy kiedyś zaprosiły takiego pana wizytatora, który przyjechał z Wrocławia do nas, i on tak siedział, siedział, słuchał, słuchał, sobie myśli „A to ja nie wiedziałem, że to na takim poziomie jest”, mówi. Ale to był taki hołd, wizytator.

Konrad Starczewski: Wspomniała pani jeszcze o majorze Hartmanie, major Hartman.

Irena Kozłowska: Tak.

Konrad Starczewski: Że spotkała go pani, będąc w Londynie.

Irena Kozłowska: Nie spotkałam go, ja z nim korespondowałam – i rozmawiałam przez telefon.

Konrad Starczewski: Aha, nie, bo myślałam, że może była pani przy jakiejś okazji takiej właśnie rocznicowej Cichociemnych, że była pani może na jakichś obchodach.

Irena Kozłowska: Nie, nie byłam na obchodach Cichociemnych, tylko ja tam... Miałam tam z nimi kontakty w Londynie, ale... O, zapomniałam, bardzo ciekawą rzecz muszę powiedzieć. Więc ja z nim rozmawiałam przez telefon, chciałam się do niego wybrać, mieliśmy wspólnych znajomych, u tamtych Cichociemnych byłam. A mówi: „Proszę pani...”, bardzo przystojny, widzieli państwo? Bardzo przystojny, elegancki chłopak. Proszę pani, ja nie jestem w takiej formie jak przed wojną, ja już jeżdżę na wózku. To możemy porozmawiać, ale nie chcę... No dobra, żeśmy rozmawiali. I on założył ogródek Rozarium. Wie pani o tym? Tak. Dla każdego poległego Cichociemnego. I w tym Rozarium oczywiście jest róża mojego Cichociemnego. Więc ja mu powiedziałam o tym, mówi: „Proszę pani, w tej chwili...”, bo prosiłam... „Jak pani chce się ze mną spotkać, to niech pani przyśle fotografię tej róży”. Mówię: „W tej chwili nie mam, ale ja mam fotografię starszą, bo w tej chwili by róże nie kwitły. W jakiej porze, także nie”. I przysłał. Przesłał mi z listem, przysłał mi tę różę, i byłam wzruszona bardzo, wyślę mu to. Bardzo sympatyczny pan. Tylko telefonicznie z nim rozmawiałam, bo nie chciał się pokazać, się wstydził.

Konrad Starczewski: A po wojnie jeszcze z kimś z konspiracji za granicą miała pani kontakt jakiś?

Irena Kozłowska: Ja czasem... W tej chwili nie jeżdżę do Londynu, ale jak jeździłam do Londynu, to się tam spotykałam z tymi ludźmi różnymi. Teraz jakoś droga wypada nie przez Londyn. Bo ja po świecie jeżdżę, jeszcze jeżdżę, wyobraźcie sobie. – Nie na wózku, ale...

Konrad Starczewski: Jest Pani w znakomitej formie. Pogratulować. A jeszcze mam takie pytanie, ponieważ teraz jakby sam temat Powstania Warszawskiego stał się takim tematem bardzo powszechnym i często dyskutowanym, i pani może nie była jakimś czynnym uczestnikiem tych wydarzeń, ale pojawiają się coraz częściej głosy, przynajmniej ja tak obserwuję, dyskusje na temat, czy Powstanie w ogóle miało sens. Więc właśnie o to chodzi, ja zawsze muszę ludziom się tłumaczyć. Mogłaby pani swoje zdanie na temat powiedzieć.

Irena Kozłowska: Ja zaraz mogę to powiedzieć, ja mam na ten temat zdanie. Ludzie dzisiaj myślą inaczej niż się myślało 50 lat temu. Jest inna forma komunikacji i wszystko się wie. Natomiast wtedy myśmy sobie doskonale... Ja

pamiętam zebranie przed samym Powstaniem. Byłam na tym zebraniu, chociaż wiedziałam, że nie będę uczestniczyć, ale byłam na zebraniu. Myśmy sobie zdawali sprawę doskonale, że Sowieci nas nie lubią. Ale są sojusznikami. Idą, no, idą, bo już to jest przed samym Powstaniem. Idą od tej strony, więc oni muszą przejść Warszawę, a my, Warszawa jest nasza, więc mamy wspólny cel. Wyzwolimy Warszawę od Niemców i oni to muszą przyjąć, bo im alianci tak każą, że oni to muszą tak przyjąć. Tak żeśmy sobie wyobrażali. Więc w tej chwili jesteśmy, będziemy ich... Na ten moment będziemy ich sojusznikami. Tak to rozmawialiśmy wtedy. Myśmy nie znali tej polityki dogłębnej, bo myśmy wiedzieli, Radio Wolna Europa, tylko tyle. I w ten sposób myśmy rozmawiali. Myśmy... Znaczą Powstanie głupie, ja byłam przed samym Powstaniem na zebraniu i było powiedziane: „No, cóż, oni są już na Pradze, Sowieci są na Pradze, idą”. Tutaj my łączymy się, łączymy się po tej stronie do walki i będziemy sojusznikami, no, trudno, nam się taki sojusznik nie podoba, ale jest. Ale jest sojusznik. My nie wyobrażaliśmy, że oni potrafią się stanąć. Tak to myśleliśmy. Myśmy głębszej polityki nie znali wtedy. Chyba, że jak oni idą, już na Pradze są, to co, te dwa kroki nie przyjdą? Przyjdą. Ale Warszawę my wyzwolimy dla nich.